

AKTORKA

Grażynie

Flirt to akwarela miłości.

Paul Bourget

Gdy zobaczył ją pierwszy raz, miała za sobą dwie główne role u jednego z najbardziej wziętych reżyserów. Nie chodził po spektaklu za kulisami, bo wydawało mu się to śmieszne, wręcz infantylne. Tym razem poszedł, przedstawił się, pogratulował roli. Stała z bukietem róż w grupie koleżanek i kolegów aktorów, otoczona tłumkiem wielbicieli. Robiła wrażenie zimnej i niedostępnej. Typ *femme fatale*.

Takie kobiety – pomyślał – przyciągają z niebywałą siłą, a na jutro niszczą bez litości. Nie przeczuwał, że ich romans wybuchnie wkrótce jak gejzer, a cała historia zakończy się kilka miesięcy później.

Jeszcze nie tak dawno zadebiutowała, a już ją rozrywano. Co jakiś czas dzwoniły telefony, w słuchawkach odzywały się głosy mężczyzn z branży, którzy zarwali noc w „Meduzie”. Nigdy nie brakowało im pieniędzy, więc myśleli, że mogą za nie kupić wszystko, szczególnie miłość.

Najmłodszy z nich, o siwych baczkach à la Paul Newman, spytał:

– Widziałeś ją?

– Którą?! Tę blondynkę?

– Jasne! Taka jest tylko jedna.

– Świetna laska. Ma metr siedemdziesiąt, nogi jak Marilyn Monroe, gdy wchodzi, wszystkim mięknie kolana.

– Z kim ona sypia?

– Jest w separacji z mężem.

- Co, nikt jej nie kryje?
- Kto to wie. Śpi ze wszystkimi i z nikim. Obsadziś ją?
- Już obsadziłem.
- Chrzaniś!
- Przyjdź jutro na próbne zdjęcia, przekonasz się.
- Przyjdę.

Mówili o dziewczynach, zdradzanych żonach, dotrzymanyh i nie-dotrzymanyh przyrzeczeniach. Byli wśród nich trzeciorzędni aktorzy, żigolacy, dyrektorzy teatrów i kierownicy kabaretów, sutenerzy i playboye, sławni literaci i grafomani chcący uchodzić za poetów, operatorzy filmowi i kompozytorzy piosenek. Przystojni mężczyźni, mający na koncie po trzysta zaliczonych kobiet – prześlicznych dziewcząt, które upolowali w sopockim „Grandzie”, na rynku w Krakowie, na bazarze w Nowym Targu. Ludzie o twarzach łotrów, niekiedy pederaci, przyodziani w kostiumy baletmistrzów. Hazardziści ze Służewca, pospolici oszuści, ludzie chorzy na tę samą chorobę, której na imię cynizm i degeneracja.

Po raz drugi w życiu zobaczył ją w górach, gdy zbiegała z Kalatówek. Odbijała się z pięty, skacząc z kamienia na kamień, starając się ominąć szybko topniejący śnieg, który w pełnym słońcu błyskawicznie zamieniał się w cienkie strumyki wody, a te, zmieszane z końskim łajnem, w cuchnące błoto. Miała na sobie kusy kożuszek z kapturem w kolorze śmietankowym, który przydawał jej urodzie dziewczęcego wdzięku, do tego obcisłe, czarne spodnie i długie, przylegające do łydek skórzane buty, wyłożone białym futrem. Od razu ją spostrzegł, przedstawił swojej żonie i dorastającej córce.

- Poznajcie się – rzekł jak gdyby nigdy nic.

Podaly sobie dłonie, po czym każda wpiła wzrok w drugą, tak jak to potrafią tylko kobiety. Było w tym coś z rywalizacji o samca, a także zwykła ciekawość.

- Miło mi – odparła aktorka. – Na narty czy na spacer?

– Dzisiaj tylko na spacer – odpowiedział za żonę. – Wczoraj przypiąłem deski, ale w górach jest mało śniegu i sporo muld, więc chcemy poleżakować na tarasie, napić się gorącej herbaty, przeczytać gazety i trochę poopalać się. A ty wracasz już do miasta?

– Muszę, niestety. Dostałam ważny telefon w sprawie nowej roli. A może wpadłbyś do mnie do hotelu? Mieszkam w „Giewoncie”.

– To będzie trudne. Mimo że mam urlop, muszę trochę popracować. Piszę scenariusz filmowy. Zadzwoń po powrocie.

Chciał to powiedzieć inaczej, a zabrzmiało jak wykręt.

Pobiegła w dół. Bezwiednie rzucił za nią wzrokiem. Znów odbijała się z pięty, wybierając możliwie najbardziej suche i wystające głązy. Taki jej obraz, podążającej skokami w dół, z burzą rozwianych jasnych włosów, uczesanej z przedziałkiem po prawej stronie głowy, w wielkich okularach przeciwsłonecznych, zapamiętał na resztę pobytu w Zakopanem.

Gdy zszedł do „Halamy”, zaczął prószyć gęsty śnieg. Miasto rozbrzmiewało dzwonekami, pachniało końskim łajnem. To górale zaprzęgli koniki do sań, które prychając, zaczęły rozwozić zziębniętych i głodnych wczasowiczów we wszystkich kierunkach – od Krupówek po Cyrhlę i dalej, aż do Morskiego Oka.

Zobaczył ją oczyma wyobraźni przytuloną do jego ramienia. Mknęli saniami. Baca zaciął konia batem zakończonym kolorowym pomponem. Miała rzęsy w płatkach śniegu, które co chwila strzepywał narciarską rękawicą. W końcu nie wytrzymał. Zdjął rękawicę i jego palce powędrowały wzdłuż jej uda, pod derką z czarnego barana. Gdy przekonał się, że nie oponuje, sięgnął wyżej i zatrzymał się dopiero tam, gdzie nosiła ledwo wyczuwalne figi. Objął wtedy palcami jej kroczę i zaczął pieścić łono. Wówczas i w niej coś pękło. Wczepiła się w jego kożuch, wykręcając tułów o kilkadziesiąt stopni i trwali tak, jakby miało to być ich pożegnalne spotkanie. Scałowywał z warg resztki śniegu i gryzł je prawie do krwi. Było w tym zapamiętanie, ekstaza, obłęd.

Po powrocie do Warszawy odczekał parę dni, przez cały czas walcząc z sobą, aż w końcu zatelefonował któregoś przedpołudnia. Rozmowa potoczyła się gładko, jakby byli starymi przyjaciółmi. Mówił niskim, chropawym głosem, ona zmysłowym sopranem. Brzmiało to jak zgrany duet, któremu niepotrzebne są dodatkowe instrumenty ani próby.

– Opaliłeś się?

– Och! Tak. Słońce zawsze mnie łapie w marcu. Szczególnie opaliłem twarz, czoło i ręce.

– Napisałeś scenariusz?

– Kończę w tym tygodniu.

– O czym jest ta historia?

– Siedzę nad tym parę lat, ale dopóki w maszynie tkwi choć jedna kartka, wolę nikomu z tego się nie zwierzać, bo to przynosi pecha.

– Nawet mnie?

– Nawet tobie. Niedługo skończę i wtedy ci go pokażę, dobrze?

– Wspaniale!

– A ty, jak się miewasz? Jak twoja nowa rola?

– Mam zagrać u Kieślowskiego.

– Cieszę się, to niezły reżyser, prawdziwy fachowiec w swoim zawodzie. Przed laty zdawaliśmy razem do filmówki w Łodzi. Zdradzisz mi, o czym będzie ten film?

– Sama nie wiem. Jutro odbieram scenariusz. Jeżeli mi się spodoba, pojedę na próbne zdjęcia, wiesz, jak to jest, przede mną jeszcze to i owo.

– Wiem. A co teraz robisz? Leżysz w łóżku?

– Leżę w łóżku. Skąd wiesz?

– Mężczyźni też mają intuicję.

– Ach tak. A co ty jeszcze posiadasz?

– Różne rzeczy.

Zmienił temat.

– W czym jesteś?

– Nie mam na sobie nic. Jestem naga.

Wyobraził to sobie natychmiast.

– Lubię całymi godzinami obserwować drzewa w ogrodzie, a szczególnie, gdy pada. Gdy tak sobie leżę nago w łóżku, a za oknem deszcz kapie z gałęzi i melodyjnie pogwizduje w rynnach, chce mi się marzyć, kochać, nic nie robić cały dzień.

– Ja też lubię deszcz – bąknął.

Zaskoczyła go tym wyznaniem. Mało się znali, a już mówiła o miłości.

Zaprosił ją na obiad do Klubu Literatów na Krakowskim Przedmieściu, gdzie jadał od piętnastu lat. Tu poznał śmietankę towarzysstwa Warszawy: pisarzy, poetów, aktorów, piękne kobiety.

Szczególnie utkwiał mu w pamięci dzień, kiedy siedział na stopniach pod ruchomymi schodami.

– Wiesz, stary – mówił mu Leopold Tyrmand, autor *Złego*, maniak kina i jazzu, równie mocno jak on nienawidzący komunizmu – musisz koniecznie zobaczyć pewien film. Wczoraj był pokaz u „Dziennikarzy”.

– Jaki?

– „Mały świątek Sammy’ego Lee” z Tonym Newleyem. Wyobraź sobie, bohater musi w ciągu dwudziestu czterech godzin oddać gangsterom dług wynoszący pięć tysięcy funtów. Sammy zdobywa tę forszę w niewiarygodny sposób, ale nie zdradzę ci, w jaki. Arcydziel się nie streszcza.

Do klubu przyszła z parominutowym wyprzedzeniem. Kończył właśnie talerz krokietów z mięsem ugarniowanym surówką z kiszonej kapusty i marchwi, gdy zbiegła po krętych schodach do piwnicznej stolówki i rozglądając się po salce, stanęła u ich podnóża. Kilka osób na czele z Andrzejem Łapickim i Januszem Morgensternem podniosło głowy. Była w beżowym kostiumie z szorstkiej wełny, a obcisła spódnica dodatkowo podkreślała jej smukłą sylwetkę. Poczuł przyspieszone uderzenia serca. Poderwał się, ale gestem pokazała mu, że poczeka w kawiarni na górze, więc uregulował rachunek i pobiegł na piętro.

– Nie chcesz zjeść obiadu? – zapytał.

– Chcę, ale nie tutaj. Chodźmy na Stare Miasto do „Petit Trianon”.

Gdy tylko stanęli na chodniku, zaraz ujęła go pod ramię.

Już całe wieki nikt mnie tak nie trzymał – pomyślał.

Szli wśród tłumu spieszących przechodniów i wolno kroczących turystów z przewieszonymi przez ramię aparatami fotograficznymi, omijając stadka gołębi, które cierpliwie wydziobywały z bruku okruszki chleba.

Gdy doszli do „Petit Trianon”, dochodziła piętnasta.

Zapamiętał z ich kolejnego spotkania zapach drożdżowego ciasta i twarz kelnerki – bladą, o zmysłowych ustach.

Trzy kwadransy upłynęły im na zwierzeniach. Opowiadał o swoim nieudanym pożyciu z żoną, o pracy w radiu, filmowych planach, które ciągle miał nadzieję zrealizować w niedalekiej przyszłości. Ona

zwierzała mu się, że jest w separacji z mężem, który nie chciał z nią współżyć, za to sypiał z młodziutkami studentkami i kelnerkami. Ma z nim kilkuletnią córkę.

Zapamiętał zapach jej skóry, a może tylko swetra, który w pewnej chwili wyjęła ze słomianego koszyka. Pachniała tak, że nie potrafił tego określić. Nie były to francuskie perfumy ani krem czy puder. W jej zapachu tkwiła tajemnica. Tworzyły go seks, kobiecość, coś z gorączki dwojga ciał. Obietnica czegoś nieuchwytnego, co dopiero ich czeka.

Po raz pierwszy kochali się w wynajętej kawalerce przy ulicy Czerniakowskiej, naprzeciwko kościoła. Wjeżdżało się tam na dziesiąte piętro prawie pod dach, gdzie na blaszanych parapetach i pod takimi samymi rynnami gnieździły się gołębie i widać było niebo, niekiedy rozświetlone odrobinę zachodzącym słońcem, przeważnie zachmurzone i załzawione deszczem. Dotykał jej piersi, całował rzęsy, pieścił biodra, a ptaki brudziły parapety, gzymsy i cokoły, jakby proces trawienny był stokroć ważniejszy od ich uniesień.

Po dwóch tygodniach przestali tam przyjeżdżać. Zostawili ten prostokątny zaułek bez żalu. Nie zdążyli przyzwycząić się do kilku skromnych sprzętów. Nie było im szkoda ani zalanych słońcem podwórek, na których kilkunastoletnie dziewczynki i chłopcy odgrywali pierwszą miłość, ani skrawka pościeli, gdzie wchodził w nią, ilekroć tylko zapragnął. Wiedział jedno. Jest inne miejsce na ziemi, dokąd ją zabierze. Tam, gdzie biały kamień stroi każdy dom, jak w wierszu, który napisał dla niej. Gdzie jaskółki fruwią w łukach starych bram i na Anioł Pański w oddali bije dzwon. Ta miejscina była dla niego czymś więcej niż azylem. Raczej bezludną wyspą i zwała się Kazimierz Dolny nad Wisłą.

Pojechali tam z początkiem lata, może na jego przełomie, gdy w Warszawie podeszwy grzęzły w asfalcie, a pod Kazimierzem łąki kolorowiły się od maków, kaczeńców i chabrów.

Pamiętał, że czekał na nią pod Teatrem Narodowym, w ślepej uliczce pod topolą. Gdy przybiegła z przewieszoną przez ramię niewielką sportową torbą, rzuciła zdyszana:

- Ruszaj ostro! Mój mąż śledzi mnie od paru godzin.
- Ma samochód?
- Tak. Wziął mojego passata.

Dodał gazu. W kwadrans potem wyjechali z miasta na Puławę. Pruł setkę. Z wolna zapadał zmierzch. Na okolicznych łąkach ciągle pasły się krowy. Co jakiś czas pobrzękiwał gdzieś łańcuch, znak, że zwierzęta się niecierpliwiły.

Po przejechaniu około dwudziestu pięciu kilometrów zwolnił. Przytuliła się do niego. Objął ją i dalszą trasę pokonywali spleceni mocnym uściskiem.

Było parno, przed deszczem. O przednią szybę jego sirocco rozbijały się dziesiątki owadów. Patrząc na ich roztrzaskane skrzydła i zmiażdżone odwłoki, wpadał w przyjemne odrętwienie. Od czasu do czasu włączał wycieraczki, a płyn spryskiwacza zmywał resztę.

Kazimierz przywitał ich tak, jak lubił. Na rynku wałęsał się bezpański kundel. W „Esterce” w zakurzonych szybach odbijała się samotna żarówka, a z sali dobiegały głosy podchmielonych gości. Naprzeciw studni, pod sklepem spożywczym, przy sztaludze siedział na składanym taborecie jakiś malarzyna. Spod wypłowiałego beretu spływały mu na ramiona kosmyki siwych włosów. Na jego twarzy gościł spokój, jakby wokół zapadł się cały świat. Nie istniały dla niego echa toczonych wojen ani ludzkie namiętności. Z całej sylwetki biło skupienie i rodzaj szczególnego przekonania, że ważny jest tylko pędzel, płótno oraz paleta z mozaiką kolorów.

Gdy dojechał do pani Lubickiej na Krakowską, już się ściemniało. Bez przeszkód dostał pokój na poddaszu – niezmiennie ten sam od lat, który tak lubił i który snił mu się często w Warszawie.

Gospodyni zaparzyła herbatę, zrobiła kanapki z szynką, posłała łóżko. Kiedy się wykąпали i wrócili z łazienki, najdelikatniej jak umiał zdjął z niej szlafrok i nagi przywarł wargami do jej łona.

Zrobili to gwałtownie, krótko, bez zbędnych słów. Gdy przytuliła się do niego, za szybą zaśpiewał dzwon. Zasłuchani odpływali daleko, coraz dalej i dalej, zapadając się w nienazwane otchłanie, w niebyt. Ser-

ca biły im miarowo podobnym rytmem, jakby stanowili jeden wspólny organizm.

Dokładnie o dwudziestej trzeciej stary franciszkanin zamknął farę na cztery spusty, po raz ostatni przeżegnał się i udał na pięterko klasztoru. Tam bez pośpiechu ściągnął brązowy habit i powiesił go na poręczu zydła pamiętającego XIX wiek.

Tak usypiał ich Kazimierz. Szczególne miejsce, które znają tylko ci, którzy je odwiedzili.

Obudził go szelest przewracanych kartek. Otworzył powieki i ujrzał nad głową sufit z prostych sosnowych desek z licznymi sękami, pachnących żywicą. Wciągnął ten zapach w nozdrza i zaraz uprzytomnił sobie, że jest na poddaszu u pani Lubickiej. Zobaczył swą kochankę wspartą na łokciu, pochłoniętą lekturą książki w znajomej ciemnozielonej okładce.

Z wolna wracała świadomość. Nie chcąc jej spłoszyć nawet najmniejszym ruchem, wstrzymał oddech. Obserwował jej opalone łopatki i linię ramion, które wydawały mu się niewypowiedzianie piękne, oraz fragment biodra, a kiedy już nasycił wzrok, zaczął delectować się plamą włosów, która przypominała spalony słońcem łan żyta.

Wreszcie podciągnął tułów o centymetr lub dwa i odezwał się:

– Witaj w Kazimierzu, kochana.

Odłożyła książkę, odwróciła głowę, pocałowała go w usta.

– Dzień dobry. Jak ci się spało?

– Wyśmienicie. A tobie?

– Cudownie.

Teraz on ją pocałował.

– Wiesz, że pachniesz brzoskwinią i latem – rzekł.

Zaśmiała się.

– Naprawdę?

– Tak. Twoje wargi mają brzoskwiniowy smak.

– Fantazjujesz.

– Bynajmniej.

– Fantazjujesz, ale dziękuję.

Zmienił temat.

– Czytasz Greene’a?

– Tak. Czytam twojego ukochanego Greene’a.

– Daleko jesteś?

– O tak. Do wieczora skończę.

– Masz zamiar leżeć w łóżku i czytać książkę?

– Mam zamiar leżeć w łóżku, kochać się z tobą, łączyć po łąkach i jeszcze opalać się, jeść mnóstwo smacznych rzeczy, pić wino i... Ta książka jest doskonała. Tak mnie wciągnęła, że zapomniałam, gdzie jestem.

– Co sądzisz o Scobim? Nie uważasz, że to trochę każdy z nas?

– Nie tylko trochę. Nie potrafi, a może nie chce podjąć żadnej decyzji, którą dyktuje rozsądek. Musi wybierać pomiędzy miłością i rozumem oraz religią.

– Jak myślisz, z kim Scobi zostanie, z żoną czy z ukochaną?

– Nie wiem i lepiej więcej nic nie mów. Chcę dojść do tego sama.

Lubię w literaturze niespodzianki, a ty nie?

– A ja w kinie i także w życiu.

Znów go pocałowała.

– To ty czytaj, a ja przygotuję śniadanie. Ale wpierw się ogolę.

Podszedł do balkonu i ogarnął wzrokiem wyboistą uliczkę. Na rowerze sunął przygarbiony listonosz. Naprzeciwko, w ogrodzie, suszyła się kolorowa pościel.

Poczuł głód. Zszedł na dół do łazienki i zaczął się golić. Gdy skończył, wziął prysznic, po czym wytarł się frotowym ręcznikiem, wtarł w ciało trzy nakrętki balsamu z witaminą E i wszedł do kuchni. Państwo Lubiccy kończyli śniadanie. Przywitał się, a potem rozgadał po swojemu. Był spontaniczny i nigdy nie miał trudności z nawiązywaniem nowych znajomości. Starał się także pielegnować stare. Kochał ludzi. Interesował się ich problemami, starał się wczuć w ich sytuację. Największą satysfakcję sprawiało mu zdobycie czyjegoś zaufania. Teraz opowiadał o swoich planach związanych z filmem o Fibaku, dzielił się przemyśleniami na temat sytuacji politycznej w kraju, trochę plotkował, choć z umiarem.

W kuchni pani Lubickiej czuł się jak w swojej własnej. Lubił ten drewniany prostokątny stół i takie same zydle, suszone kwiaty w wazo-

nie, pęki makówek oraz ręcznie malowane talerze na ścianach, firanki z falbankami w oknach i gliniany piec wyłożony szerokimi, białymi kaflami.

– Zawsze wam zazdroszczę, kiedy tu jestem – wyznał.

– Nie ma czego zazdrościć – odparła gospodyni. – Trzeba kupić tylko kawałek ziemi i pobudować się.

– Może kiedyś się na to zdobędę. A może będę tylko wiecznie tęsknił za Kazimierzem. W tym też jest jakiś sens, jak pani myśli?

Pani Lubicka nie miała na ten temat własnego zdania.

Stanął przy kuchni, ugotował na miękko dwa jajka, przyrządził kilka kanapek z szynką, pomidorami i miodem, a na koniec wsypał do dwóch kubków po czubatej łyżce kakao i zalał je wrzącym mlekiem. Gdy skończył, postawił wszystko na tacy i powędrował na poddasze.

– Śniadanie gotowe, kochana – powiedział. – Włóż coś na siebie i przyjdź na balkon.

Wyskoczyła z łóżka i przez chwilę, stojąc nago, szukała swojej bielizny. Ustawił wszystko na balkonie i wrócił, żeby podać jej swój szlafrok.

– Wyglądasz w nim prześlicznie – zauważył. I zaraz dodał: – Chodź, trzeba szybko jeść, bo wystygną jajka.

Usiedli obok siebie, ona w jego błękitnym szlafroku z białymi wyłogami, podkreślającym jej urodę, dodającym blasku i odrobinę zmysłowości, on w ciemnogrnatowych spodniach z francuskiego welwetu i żółtym T-shircie.

– Ależ z ciebie wspaniały kucharz! – powiedziała.

– I kelner, kochanie. Nie zapominaj o tym.

– A jaki kochanek! – mówiąc to zmrużyła oczy.

– Nie przesadzaj.

– Wcale nie przesadzam.

– Było ci dobrze?

– To za mało powiedziane. Było mi słodko.

Przeciagnęła się jak pantera. Ziewnęła, wyciągnęła w górę obie ręce i wtedy szlafrok rozchylił się ukazując jej piersi. Nachylił się nad nimi, zaczął je całować, żarliwie, dziko, nie mogąc pohamować zniechacka wybuchłej żądz.

Przez kilka chwil oddawała mu pocałunki, a on wciąż obejmował ją wpół, szarpał wargami sutki i muskał włosy. W końcu zaprzestali pieszczot, zdyszani, jakby nieco zdziwieni tym naturalnym wybuchem niepohamowanej namiętności, której żadne z nich nie kryło i której dawali upust z autentyczną radością.

- Lubisz jajka z keczupem?
- O tak! Daj mi trochę.
- A rzodkiewki?
- Rzodkiewkę też.
- A ogóreczki?
- Naturalnie.

Podawał jej wszystko, wkładał w usta z jakąś niebywałą troskliwością, jakby nie była dojrzałą kobietą, lecz dzieckiem. Jego ukochanym dzieckiem, które wymaga nadzwyczajnej opieki.

Po śniadaniu wypili dodatkową porcję kakao. Siedzieli w słońcu, jakby oprócz nich nie istniało nic. Ani to piętnastowieczne miasteczko, ani jego mieszkańcy, poruszający się jak na zwolnionym filmie, z przyziemnymi namiętnościami, wolni od chciwości i złudzeń. Słońce sunęło górą, nad farą, cmentarzem i sadem, czepiało się konarów jabłoni, odbijało się w wiślanym nurcie, pieściło drewniane krypy na brzegu, a oni wciąż siedzieli przytuleni na tarasie, obserwując otaczający ich nieboskłon.

W końcu, dokładnie za dziesięć dziesiątą, usłyszeli dźwięk dzwonu, który zrazu zajęczał, jakby stary franciszkanin nie miał dość sił, by pociągnąć mocniej za sznur, lecz po chwili zaczął dzwonić donośniej i melodyjniej, a co najważniejsze – miarowo. Widać zakonnik ujął sznur obiema dłońmi i zaczął pociągać nim ze zdwojoną energią.

- Przejdźmy się, kochanie – rzekł do aktorki.
- Tak – odparła. – Czas na spacer.

Zsunęła z ramion jego szlafrok i zaczęła wkładać cienkie, różowe figi. Naraz zawahała się i zmieniła je na dwuczęściowy kostium kąpielowy w kolorze kawy, ze złotymi wypustkami na biodrach. Ubierała się szybko, jakby było jej szkoda każdej straconej sekundy. Obserwował ją spod oka, ścieląc łóżko, a ona tymczasem czesała długie, lśniące włosy krótkimi, energicznymi pociągnięciami, a kiedy skończyła, włożyła na

głowę słomkowy kapelusz z dużym rondem, przepasany bordową kordą i rzekła:

- Jestem gotowa, a ty?
- Chodźmy - odpowiedział.

W chwilę potem zbiegali po drewnianych, pachnących sosną schodach, prowadzących do drzwi, a stamtąd do furtki na ulicę.

Ruszyli rażno do przodu. Uderzyło ich rześkie powietrze. Gdzieś z boku gdakały zajęte wyszukiwaniem robaków kury, poszczekiwał pies. Poczuli się odprężeni, tryskający humorem, głodni nowych wrażeń.

Skręcili od razu w prawo. Wędrowali chodnikiem, omijając szybko wysychające w słońcu kałuże. Trzymali się za ręce.

- Nie słyszałem, żeby padało w nocy - zauważył.
- Spaliśmy jak zabici - odparła. - Kochałeś mnie pół nocy, byłeś zmęczony podróżą.
- Dziś też będziemy to robili.
- Dziś, jutro, do końca świata.
- Tak jest. Do końca świata - powtórzył, ściskając lekko jej dłoń.
- Boże! Jak tu pięknie! Jaka wspaniała jest ta studnia z daszkiem i wystającą z boku korbą. Chciałabym tu jeszcze kiedyś przyjechać z tobą, kupić kawałek ziemi, wybudować dom, nasycić się tym wszystkim.
- Zawsze o tym marzyłem - wszedł jej w słowo. - Kiedy przyjechałem do państwa Lubickich po raz pierwszy, a było to z górą piętnaście lat temu, od razu postanowiłem, że tu osiadę.
- No i co, dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Sam nie wiem. Może zabrakło mi motywacji, uporu, pieniędzy.
- Zawsze wszystko rozbija się o pieniądze.
- Tak. Gdybym wtedy kupił kawałek ziemi, dziś nocowalibyśmy gdzieś na pięterku, w jakiejś urokliwej mansardzie z ukwieconym perlargoniami balkonem, z widokiem na sady i Wisłę. Spalibyśmy tam jak dzieci, kochałbym cię jak wariat, nosił na rękach, rozpieszczał.
- A podałbyś mi czasami śniadanie do łóżka?
- Oczywiście.
- Kakao i tosty z dżemem morelowym?
- Też.
- A przenosiłbyś mnie przez kałuże?

- Oczywiście.
 - A... a byłbyś mi wierny?
 - Jak pies.
 - A ja piekłabym ci ciasto w prodiżu. Ze śliwkami. Lubisz ze śliwkami?
 - Przepadam.
 - A keks z bitą śmietaną?
 - Szczególnie z bitą śmietaną.
 - I poziomkami.
 - Także.
 - Ja też ubóstwiam. I co, co dalej. Opowiadaj...
 - W całym domu pachniałoby jabłkami, ciastem, drzewem sosnowym. Na parapecie w kuchni spałby kot. A w wazonie, na środku okrągłego stołu w pokoju jadalnym nigdy nie brakowałoby polnych kwiatów. Co parę dni zmieniałbym bukiet. Latem dodawałbym makówek, jesienią parę gałązek dzikiej róży. Co ty na to?
 - Podoba mi się. Właśnie tak chciałabym żyć.
 - Nie obawiałabyś się biedy?
 - Razem zarobiliśmy na wszystko, prawda?
 - Tak.
- Naraz zatrzymał się i wyciągnął rękę.
- Spójrz tam! Widzisz na górze ten sad? Dawniej stała tam stara stodoła. Pewnego dnia spaliła się. Pozostała po niej tylko podmurówka. Chciałem tę porośniętą pokrzywą ruinę odkupić od Lubickiej, ale gdy przyszło do poważnej rozmowy, okazało się, że nie bardzo wiadomo, do kogo ta działka należy. Do niej czy do jej siostry? Sprawa upadła. Później jeszcze dwukrotnie przymierzałem się do kupna ziemi w Kazimierzu. Ilekroć tu przyjeżdżałem, zatrzymywałem się u nich, przepytywałem, snułem projekty. Mijały lata i nic. Miejsce po stodole - o, widzisz ten fragment fundamentu? - jeszcze bardziej porosło zieliskiem. Dziko tam, trochę nieprzyjemnie. Nieco wyżej, jakieś kilkaset metrów od tego miejsca, znajduje się cmentarz. Być może, dlatego nikt do tej pory nie zbudował tu domu. Choć miejsce jest bardzo romantyczne, a poza tym roztacza się z niego przepiękny widok na zamek w Janowcu.
 - Mieszkać obok umarłaków to średnia przyjemność

– Wiesz, ktoś mi kiedyś powiedział podobnie.

– Kto? Jedna z twoich kochanek?

– Tak. O ile wiem, mieszka dziś w Magdalence. A mnie, jak wspomniałem, zabrakło wyraźnej motywacji. Nie umiałbym zabrać się do budowy domu, nie mając rodziny, nie dzieląc życia z kimś szczególnym, ważnym, kogo kocha się do szaleństwa. Rozumiesz to?

– Kochałeś ją?

– Kochałem, ale nie mówmy o przeszłości. Teraz liczysz się tylko ty i to jest dla mnie najważniejsze.

Szli ramię w ramię, trzymając się za ręce niczym para sztubaków, ulicą Krakowską, w stronę odnowionego PTTK.

W kwadrans potem dotarli do brzegu Wisły.

– Teraz pójdziemy w górę. Pokażę ci moje łąki. Rośnie tam mlecz, kwitną chabry, rumianki i maki.

Skręcili w lewo za PTTK i zaczęli wspinać się krętym, zarośniętym drzewami wąwozem. Zrobiło się cicho, tylko w wysokiej trawie brzęczały świerszcze, a po konarach ogromnej sosny przeskakiwała ruda wiewiórka. Zadarli w górę głowy i obserwowali ją z otwartymi ustami.

Po kilkuminutowej wspinaczce wyszli z wąwozu. Oczom ich ukazał się pas intensywnie zielonych wzgórz z dodatkiem sieny, gdzieś podkreślony plamą ostrej czerwieni bądź fioletu. To wśród dojrzałego zboża wysypały się liczne maki, a nieco dalej, na kamienistych zboczach pełnił się oset i powój. Nad wszystkim rozpościerało się bezchmurne niebo. Zaczęli schodzić w dół ku rzece, gdzie zauważyli makowe pola.

Aktorka szła w ubrudzonych gliną szpilkach wsparta na ramieniu kochanka, ubrana tylko w rozkloszowaną sukienkę w grochy, która doskonale harmonizowała z jej jasną cerą i takimi samymi długimi włosami sięgającymi aż do łopatek.

Nie zważając na pracującą w sąsiedztwie kobiecinę, podszedł i złamał przy samej ziemi kilka makówek, które pękały z trzaskiem, po czym niespiesznie oddalili się w stronę pobliskiego sadu.

Zeszli z gościńca i szli teraz wzdłuż zrudziałego od żaru ścierniska, omijając spalone słońcem i poukładane w stogi snopy siana, muskając wzrokiem napęczniałe od ziarna kłosy.

Kilkanaście metrów dalej spłoszyli stadko kuropatw. Kiedy ptaki uniosły się w powietrze, rozejrzał się wokoło i rzekł:

– Tu będzie znakomicie.

Weszli do niewielkiej rozpadliny długiej na niespełna dwa i pół metra i szerokiej na półtora, rozebrali się do naga i rozłożyli we wgłębieniu pled. Aktorka rzuciła sukienkę na trawę, a umazane gliną szpilki obok. Zaraz przywarł wargami do jej ust i podtrzymując dłonią tył głowy, dokładnie tak jak robią to amanci drugorzędnych filmów, całował aktorkę bez tchu, jakby miało od tego zależeć całe jego życie. Zamknęła oczy. Na parę chwil wypuścił ją z objęć i patrzył na jej profil z puklem włosów na policzku.

Leżała nieruchomo z lekko rozchylonymi udami. Jedną nogę lekko zgiętą w kolanie, miała uniesioną w górę. W pewnym momencie sfrunął na nią motyl. Przysiadł niepewnie, jakby badając teren, a gdy poczuł, że nie grozi mu z ich strony najmniejsze niebezpieczeństwo, rozprostował swe jedwabiste skrzydła. Dostrzegli dwa bordowe koła w czarnych obwódkach na pomarańczowym tle. Wstrzymali oddechy, zamarli.

Motyl tymczasem odpoczywał, macając czułkami kolano aktorki, a oni obserwowali go spod przymkniętych powiek, zahipnotyzowani i wniebowzięci.

Nagle powiał wiatr. Motyl drgnął, uniósł w górę skrzydła, w ułamku sekundy wykonał kilka niedostrzegalnych dla oka raptownych drgnień, po czym uniósł się w powietrze z niesłychaną lekkością i odfrunął w stronę falujących traw.

Teraz odwrócił ją jednym mocnym ruchem, po czym przywarli do siebie, jakby stanowili jedno ciało. Poruszali się zrazu niedostrzegalnie, a potem coraz bardziej rytmicznie, z uczuciem, z jakimś niesłychanym zapamiętaniem, z pasją.

Zaczął ją pieścić. Robił to jak dziki kot. Wpierw wtulił swoją głowę w piersi aktorki, muskając ją brodą, łaskocząc sutki, kołysząc jednocześnie całym tułowiem to w prawo, to w lewo. Poczuł, jak twardnieją jej piersi, jak pulsują skronie, a oddech staje się krótki, gwałtowny, jak po długim, forsownym biegu.

Słońce tymczasem zaczęło głaskać jego tors i jej rozłożyste, zbyt masywne jak na kobietę plecy, co mu zupełnie nie przeszkadzało,

wręcz podniecało. Patrzył na jej biodra, muskał wzrokiem wąską talię i piersi, które tworzyły cudowną kompozycję, przypominającą kielich niespotykanego kwiatu.

Wreszcie wszedł w nią. Stało się to w sposób naturalny. Robili to w milczeniu, w całkowitej ciszy. W tle grały im świerszcze. Czuł się lekki, rozgrzany miłością, a także wolny. Było to uczucie, którego zaznał niezmiernie rzadko – zawsze wtedy, kiedy kochał naprawdę.

Cały ich miłosny akt trwał kilkanaście minut. Zmęczeni miłością, mokrzy od potu i naładowani czymś, co bywa jakimś szczególnym rodzajem elektryczności, niespotykanej energii, połączonej z uczuciem wyzwolenia, upadli na siebie jak po otrzymaniu rany postrzałowej. Widział nad sobą czyste, bezchmurne niebo, unoszące się we wszystkich kierunkach i podświetlone promieniami słońca drobiny kurzu, pyłki traw, słyszał buszujące w kukurydzy stadko kuropatw. Obrazy i wrażenia zlewały się i przenikały nawzajem.

– Powiedz, że jesteś moja – wycharczał.

– Jestem twoja – odparła zwyczajnie, oswobadzając się z jego uścisku.

– Tylko moja?

– Tak, należę do ciebie. A ty jesteś mój?

– Twój. Nikogo nie ma przed tobą.

– To kochaj mnie mocno.

Całował jej twarz, jakby była to twarz ukochanego dziecka, a nie gwiazdy europejskiego kina. Twarz wampa, który wśród kobiet wzbudzał zawiść albo podziw, zazdrość albo uwielbienie oraz dziką żądzę, a niekiedy nieskrywaną pogardę u mężczyzn, w tym specyficznym środowisku, które zwie się filmowym parnasem, a w rzeczywistości jest zwykłym rynsztokiem. Było w ich zachowaniu coś z rytualnego obrzędu. Całowali się z niesłychaną pasją, zaborczo, żarłocznie, jakby chcieli zwrócić uwagę całemu światu ze wszystkimi jego plugastwami, że oto tu, w zielonej rozpadlinie pośród ukwieconych łąk, dzieje się coś wyjątkowego, niezwykłego, bajkowego i nierealnego, a oni sami są nieposzlakowani i czysti niczym ostatni romantyczni kochankowie naznaczeni przez bogów. A może im się tylko tak wydawało?

Świadkiem były tylko kwiaty o nienazwanych zapachach, zapyłane przez pracowite owady. Rozpięte nad głowami niebo. I skowronek,

którego cień pojawił się nagle, zawisł nad ich obnażonymi ciałami, przypatrując się im z wysoka, jakby z zazdrością, po czym nagle znikł gdzieś w obłokach.

Przez kilkanaście następnych minut odpoczywali. W końcu poczuli głód. Podnieśli się i zaczęli ubierać.

Najpierw podał jej z ziemi uwalane gliną szpilki, które wytarł kilkakrotnie o trawę. Gdy skończył, klęknął przed aktorką i ujmując najpierw lewą, a następnie prawą stopę, najdelikatniej jak potrafił wsunął na nie buty. Uśmiechnęła się do niego zalotnie i szepnęła mu coś do ucha, a on to skwitował jeszcze jednym pocałunkiem w usta. Wiatr podniósł jej na moment sukienkę. Znowu trwali w uścisku, lgnąc do siebie i obdarzając się pieszczotami.

Następnie wciągnął spodnie i koszulę, wsunął na nogi tenisówki i zaciągnął aktorce suwak w sukience. Ruszyli z powrotem.

Po chwili dotarli do makówkowego pola. Gdy znaleźli się na jego skraju, ujrzeli starą chłopkę, której spod wyblakłej chusty wymykały się kosmyki siwych, przetłuszczonych włosów. Kobięcina miała chytre oczy kuny i wiśniowy nos, z którego schodziły płaty skóry. Nosila wytartą, ściągniętą wojskowym pasem koszulę, luźną, sięgającą kostek spódnice oraz brązowe sandały przyprószone drobinami dopiero co skopanej ziemi oraz obornika. Wśród zagonów uwijało się parę wron.

Minęli chłopkę, nie patrząc w jej kierunku, ona tymczasem wpiła się w nich wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Zjeżdżajcie stąd!”, po czym ujęła oburącz motykę, westchnęła i dalej zaczęła okopywać kartofle.

Aktorka i jej kochanek schodzili tymczasem z wysokiej skarpy. Za nimi pozostał Mięćmierz. Z samotnym wiatrakiem, kilkunastoma pochylonymi chatami, zakurzonym gościńcem, po którym niosło się gulgotanie indyka.

Od chwili gdy wrócił z Kazimierza, minęły cztery dni. Aktorka nie odzywała się – telefon milczał, jakby odcięto przewody. Wciąż prześladował go widok werandy u państwa Lubickich.

Siedzą przytuleni. Muska jej stopy wargami. Podaje rzodkiewki ze szczyptą soli. Jajo na twardo z keczupem. Posypuje szczypiorkiem kil-

ka kromek razowego chleba z masłem. Napelnia filiżanki herbatą. Znowu lgną do siebie, pieszczą dłońmi ramiona, łopatki, włosy, policzki.

Jedzenie i miłość to przeważnie zwykła fizjologia. Bywa też, że jedno drugie uzupełnia, staje się czymś w rodzaju obrzędu.

Tu, na werandzie, w blasku coraz wyżej wędrującego słońca, gdy za plecami czai się kopała fary, w powietrzu tańczą chmury owadów, a w uszach na Anioł Pański dźwięczy stary dzwon, wszystko nabiera innego wyrazu. Powszedniość staje się zagadkowa, odświeżona. Szare zmienia się w złote. Brudne, niedomyte okno jawi się niczym tafla kryształowo czystego jeziora. Niemrawo poruszająca się kura przemienia się w dostojnie kroczącego pawia.

Stopa aktorki unosi się w górę. Płyne powoli wyżej i wyżej, odsłaniając nagie udo, a potem trójkąt złocistych włosów. Mijają minuty, a każda z nich niby sześćdziesiąt potężnych salw rozrywa jego skronie.

Odrywa wargi od jej łona. Teraz stopa aktorki opada na jego biodra, palce nóg szukają krocza, a palce dłoni zaczynają masować jego kark.

Podszedł do okna. Mokre szkło. Drewniana futryna, od której bije ciepło. Pod koszulą trzepotało umęczone serce.

Czyżby coś jej się stało? – zastanawiał się, coraz bardziej wytrącony z równowagi. Ale co? Dlaczego nie telefonuje?!

Wreszcie podjął decyzję. Włożył świeżą koszulę, zawiązał krawat. Zaczesał do góry włosy, wklepał w policzki kilkanaście kropel lawendy. Jeszcze jeden rzut oka w lustrzane odbicie.

W porządku – pomyślał. – Trzeba to rozwiązać. Natychmiast! Po męsku!

W Teatrze Narodowym mimo wczesnego popołudnia paliły się wszystkie kandelabry. W portierni dowiedział się, że aktorka jest w trakcie generalnej próby, która skończy się za około trzy kwadranse.

Wszedł na pierwsze piętro, po czym powędrował korytarzem wyłożonym wiśniowym sukniem, które doskonale tłumilo kroki i przydawało wnętrzu odświeżonej atmosfery. Przystanął przed garderobą aktorek.

Zapukał. Otworzyły się drzwi, w których ukazała się czterdziestoparoletnia kobieta w granatowym fartuchu z peruką w dłoni.

Sklonił się lekko i rzekł:

– Czy zechciałaby pani być tak uprzejma i wywołać z próby na pół minuty jedną z aktorek? – Wymienił nazwisko. – To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Garderobiana spojrzała na niego badawczo, przyglądziła dłonią fartuch i kiwnąwszy ze zrozumieniem głową, podreptała na koniec korytarza.

Włożył ręce do kieszeni tweedowej marynarki i zaczął chodzić w tę i z powrotem, jak człowiek wytracony z równowagi albo poważnie chory, którego za chwilę zabrać ma ambulans reanimacyjny. Mijały minuty, a on szamotał się między ścianami, ogarniając wzrokiem szklane klosze, w których wały się odwłoki przypalonych owadów.

Dochodził właśnie do przeciwległej ściany, gdy usłyszał kroki. Jednocześnie poczuł, jak serce tłucze o żebra, rozsadzając je niby dynamit. Odwrócił się i ujrzał ją.

– Witaj! Co się stało?! – rzuciła z nieskrywanym zniecierpliwieniem.

– Czemu nie dzwonisz? – odparł zduszonym głosem, z trudem powstrzymując rosnące napięcie.

– Jestem w ciąży!

Drgnął, jakby poraził go prąd, a następnie zrobił krok w tył i spojrzał na nią osłupiały. Stała przed nim w sukni z żorżety, która wcale do niej nie pasowała, przydając jej urodzie sztuczności, tandetnego blasku, małomiasteczkowego fasoniku, jakim popisują się dziewczyny podczas odpustowego przedpołudnia przed chłopcami, stała na schodach Teatru Narodowego, które w jej aktorskiej wyobraźni zmieniły się w prawdziwą scenę. Przeszywała go na wylot wzrokiem, przybrawszy tę charakterystyczną pozę, która cechuje wszystkich aktorów na świecie – pozę pewnej afektacji i bezgranicznego samouwielbienia.

Może się zresztą mylił i był niesprawiedliwy. Niewykluczone, że po prostu panicznie się bała.

– Mogłaś zatelefonować!

– Mówiłam ci, że jestem prawdopodobnie w ciąży.

– Prawdopodobnie?

– Tak. Jeszcze nie wiem na sto procent.

Uniosła głowę, zmarszczyła brwi i nagle zatrzepotała w powietrzu palcami lewej dłoni, co sprawiło, że uśmiechnął się w duchu do swoich myśli.

Cóż za groteska – pomyślał – nie dość, że życie jest jak teatr, a ona tu, w Teatrze Narodowym, na tych pieprzonych schodach, odstawia maskaradę. Brakuje tylko świateł rampy, tłumu fanów, wiernej publiczności i łowców autografów.

– Jeszcze nie na pewno – powtórzyła. – Muszę wytrzymać do poniedziałku, a potem zobaczymy...

Przełknął ślinę. Czuł, że za chwilę podbiegnie, chwyci ją w ramiona, uszczypnie, żeby obudzić z koszmarnego snu. Była w tym miłość i nienawiść jednocześnie.

– Zatelefonuję w poniedziałek – rzuciła na pożegnanie, odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi korytarza.

Minał tydzień. Gdzieś za oknami jego mieszkania czaił się okrutny, bezwzględny świat. Z komina leniwie sączyła się strużka niebiesciutkiego dymu. Naprzeciwko w sklepie spożywczym ustawiała się długa kolejka po chleb, mleko, kawałek mięsa. Ludzie swym zachowaniem przypominali dzikie zwierzęta. Mieli kły i pazury, ich język sprowadzał się do zdawkowych wynurzeń na temat pogody, nerwowego chichotu, dolegliwości reumatycznych albo najnowszych podwyżek cen. Ktoś liczył pieniądze, które już dawno przestały mieć jakąkolwiek wartość. Inny układał w myślach zuchwały plan napadu na bank, co było o wiele rozsądniejszym pomysłem w porównaniu z projektem porzucenia żony i dzieci, na których utrzymanie już dawno zabrakło środków. Jeszcze ktoś inny upijał się do nieprzytomności, żeby zapomnieć o znenawidzonej pracy ajenta, listonosza, nauczyciela.

Mimo to świat istniał. Życie toczyło się nadal, wszystko bowiem było pomyślane jak należy, nawet to, co zaplanowano w sposób irracjonalny, niesprawiedliwy i wyrafinowanie okrutny.

Przez całe dni oddawał się wytężonej pracy. Żeby nie myśleć o niej, aby ją zapomnieć, wykreślić z pamięci.

Na próżno.

Widział ją w natarczywym, powtarzającym się i stale powracającym kadrze. W przenikaniu. Obraz jej twarzy, dłoni, potem znów jej policzków i włosów, które gładził w uniesieniu, jakby dotykał swojego dziecka, nakładał mu się w mózgu w z wielokrotny sposób.

A potem atakował go inny obraz.

Leżała na fotelu ginekologicznym. Na beżowym fotelu ze skaju przykrytym białym prześcieradłem. Nad głową miała lampę, która rzucała ostre światło, wydobywając z półmroku każdy przedmiot, od kwiatów w oknie po chirurgiczne narzędzia w oszklonej szafie. W kącie klął go w oczy plastikowy kubek.

Drżała jak w febrze.

– Zaraz pani odrobinę się prześpi – powiedział szeptem doktor.

– A kiedy się pani przebudzi, będzie po wszystkim.

Kiwnęła głową i przymknęła powieki.

– Niech to już będzie za mną – odparła, oblizując spękane wargi.

Lekarz nachylił się nad nią i podwinął prawy rękaw jej bluzki. Aż po łokieć. W sekundę potem poczuła ukłucie i zapadła w nicość.

Znów minęło kilka dni. Padało, rozpogadzało się, a gdy chmury przeganiał wiatr, nad poszczerbionymi dachami pojawiała się słońce, ludziom robiło się lżej na sercach, a on sam zapominał na chwilę o wszystkim.

Piątek czy wtorek, środa czy niedziela. Jakie to może mieć znaczenie? – dumiał otumaniony.

A może jednak zatelefonować do niej? Zadręczał się. Rozmówić się raz jeszcze? Przecież to moje dziecko. Kocham ją. A miłość jest najważniejsza! Nie, nie zadzwonię!

Naraz znów coś postanawiał. Walczył z sobą. Poddawał się i znowu podnosił. Męczyły go wyrzuty sumienia, że nie zachował się jak mężczyzna i schował głowę w piasek, zamiast kierować swoim życiem.

W końcu rozpacz przeważała, zacinął się w uporze i kładł z powrotem słuchawkę na widelki. Starał się czymś zająć, jadł, spał, pił alkohol, miotał się po mieszkaniu jak człowiek, który postradał zmysły. Czuł, że jakaś niebywała siła wyrzucić go chce z ciepłego pokoju na ziąb, na ulicę, wbrew jego woli, na przekór logice i rozsądkowi.

W Warszawie zrobiło się jesiennie. Pożółkły skwery, w tle szarych domów przybyło brązu, zgnilej zieleni, ugru.

Pod kościołem Wizytek, opodał hotelu „Bristol”, uderzył go w oczy ślubny orszak. Zamiast przyhamować, dodał gazu. Pomyślał: Dziś sypią

na głowę panny młodej ryż, a pod nogi monety i gra wynajęty skrzypek. Za parę lat dziewczyna będzie miała żyłaki od stania przy kuchni, kolejny ranek zaczną od wzajemnych pretensji, z jeszcze jednej miłości zostanie kupa popiołu.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się pod Klubem Literatów. Zaparkował wóz, zostawił kurtkę w szatni, zbiegł po schodkach do stolówki i zamówił obiad.

Jadł bez apetytu. Ktoś przy sąsiednim stoliku ze swadą opowiadał o najnowszej premierze w Teatrze Dramatycznym. Łapicki z Morgensternem w towarzystwie swych żon z namaszczaniem przeżuwali kromki w sosie grzybowym.

– Co za wspaniała kreacja! – zachwyciła się Barbara Hoff. – Takich aktorów już nie ma.

– Zapewne, zapewne – wtrącił Gustaw Holoubek. – To aktor o wyjątkowych predyspozycjach.

– No i oprócz tego ma charyzmę – dodała Magdalena Zawadzka.

– A ile w jego kreacji głębi, prawdy o człowieku – zauważył Andrzej Łapicki.

– Proszę pana, ktoś na pana czeka w kawiarni na piętrze – szepnął czyjś głos.

Ocknął się. Podniósł wzrok. Stała przed nim pani Niusia, szatniarka z kawiarni na pięterku.

– A jak wygląda ta osoba?

– To ta znana aktorka, która wpadała tu kilkakrotnie do pana. Taką przystojną, długowłosa blondynka.

Poderwał się, potrącając krzesło. Przy sąsiednim stoliku kilka osób podniosło głowy. Wśród nich Mieczysław Jahoda i Janusz Głowacki.

Wbiegł po schodach na górę, minął szatnię, przyspieszył i zamiast do kawiarni skręcił w lewo w stronę tylnego wyjścia.

Zgrzyt otwieranej bramy. Czyjeś kroki z tyłu, za plecami; był już na zewnątrz, na parkingu.

Wrzucił jedynkę, dwójkę, dodał gazu i na trójce pomknął z placu Zamkowego w prawo, w Miodową, a następnie na żółtym świetle skręcił w stronę placu Teatralnego. Zerknął w lusterko. Zobaczył, że przejechała na czerwonym świetle. Pędziła jak oszalała, roztrzaskując kołami

świeże kałuże i obryzgując błotem grupki oniemiałych przechodniów. Na wysokości opery miał na swoim szybkościomierzu prawie setkę, w Bielańską wjechał czwórką, wyrzuciło go w stronę sklepu ze słodyczami, wcisnął więc odruchowo hamulec, ale uczynił to zbyt późno i poczuł, jak potężnie zarzuciło go i zniosło na krawężnik. Odbił lekko kierownicą, przeszedł z czwórki na dwójkę i znowu rzucił okiem w lusterko. Sądził, że ją przechytrzył, że jego sirocco jest szybsze od passata. Pomylił się. Skręcała właśnie w Bielańską.

Wyhamował i zatrzymał się opodal domu Pod Królami. Wyszedł z wozu, obejrzał się. Właśnie parkowała za jego autem.

Trzask drzwiczek. Już biegła. Zaśmiał się nerwowo do własnych myśli.

No dobrze. Niech tak będzie.

Zobaczył ją w beżowej garsonce, włoskich szpilkach, jak zdejmuje skórzane rękawiczki, wkłada przeciwsłoneczne okulary, a potem puszcza w ruch swoje długie nogi, które zawsze go podniecały, i zbliża się szybkim, energicznym krokiem. Wyglądało to tak, jakby na chodniku na wprost nich ustawiono kamerę, przy której reżyser szykuje się do kolejnego ujęcia, a operator chłodnym okiem ocenia odległość, sprawdza światło i rzuca donośnym głosem: „Wszyscy na miejsca, AKCJA!”.

– Jak się masz? – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – Wiesz, stęskniłam się ogromnie za tobą, dużo przez ostatni tydzień myślałam o nas, a dziś właśnie...

– Myślałaś o nas?! – wpadł jej w słowo. – To interesujące.

– Tak – kontynuowała, mówiąc ni to do siebie, ni to do niego. – Właśnie dziś pomyślałam sobie, że zabiorę cię na najnowszy film Roberta Altmana.

– Nic z tego! – przerwał jej znenacka.

Uniosła twarz. Zobaczył w jej oczach narastające napięcie. Nerwowo oblizała wargi, sięgnęła do przewieszanej przez prawe ramię torebki, wyjęła puderniczkę i poprawiła makijaż.

Wszystko, żeby zyskać na czasie – przebiegło mu przez głowę.

– Słuchaj – wykrztusiła po chwili. Myśmy się tylko trochę pokłócili, przecież...

– Nie, moja kochana! Mylisz się! Nigdy nie zrozumiesz, jak bardzo... – Zawahał się w tym miejscu, bo chciał powiedzieć o swojej miłości do niej, lecz zaraz dokończył: – Nigdy na nikim w swym życiu tak się nie zawiodłem. Najgorsze w tej całej historii jest to, że dla ciebie liczy się tylko twoja kariera. Wyłącznie twoja kariera i tyle!

– Mylisz się!

– Myle się?! Ja?! Czyżby?! – cedził przez zaciśnięte zęby i czuł, że zaczyna pastwić się nad nią.

– Tak, mylisz się – powtórzyła. – Jesteś w stosunku do mnie niesprawiedliwy.

– Powtarzam, nie mylę się – powiedział spokojnie. – Udowodniłaś to, biorąc pierwszy zastrzyk, a potem drugi i trzeci. Zabiłaś je bez zastanowienia, nie pytając człowieka, który ci zawierzył, który cię nie tylko pragnął, który, ach! – Machnął nagle ręką i było w tym zniecierpliwienie połączone z dozą rezygnacji. – Już nic na to nie poradzisz – dodał. – To koniec!

Odwrócił się nagle na pięcie, pozostawiając aktorkę osłupiałą, z szeroko otwartymi oczami, w których odbijało się z trudem maskowane zdumienie. W jej źrenicach jak w przezroczystej tafli jeziora znikaly jego sylwetka, cień umykającego samochodu i smużka dymu z rury wydechowej, gdy wcisnął pedał gazu.

Skręcał znów w Bielańską, a aktorka stała wciąż na skwerku domu Pod Królami, nie mogąc się pozbierać, oniemiała, wytrącona z równowagi, z luźno opuszczonymi rękoma jak ktoś, kto czeka na egzekucję, jak człowiek z tym pogodzony, ale nie do końca. Nie mogła pojąć, jak mogło dojść do sytuacji, w której ona, gwiazda, znajdująca się u progu sławy, u szczytu powodzenia, rozrywana przez wytrawnych scenarzystów, najlepszych reżyserów, nie wspominając o czeredzie pismaków nagabujących ją każdego dnia o wywiad, zmuszona jest prosić o spotkanie, kajać się, żebrać o zrozumienie. Na przekór wrodzonej dumie, pomimo pychy, wbrew egocentryzmowi.

Może choć raz – pomyślał, dodając gazu – może ten jeden jedyny raz nie zagrała i była prawdziwa, autentyczna, ludzka.

Odjechał kilka kilometrów dalej. Ulicami sunęły trolejbusy i tramwaje. Chodnikami kroczyli przechodnie, jakieś kobiety, których nikt nie pragnął, i ich dzieci, dla których nikt nie miał czasu. Mijali go star-

cy, dźwigając dziwne pakunki poobwiązywane sznurkiem i urzędnicy w tandetnych jesionkach zakupionych za marny grosz w Domu Towarowym – ów anonimowy tłum, który do tej pory nic go nie obchodził, a z którym teraz poczuł niespotykaną więź. Czuł, że tych ludzi dręczy pośpiech, głód, samotność. Niektórych zdradzało nerwowe podniecenie. Ktoś komuś wygrażał zaciśniętą pięścią. Pod salonem Peweksu tłoczyła się kolejka po telewizory.

Nad Warszawą jaśniało niebieściutkie niebo. Rozsłonecznione, pogodne, zniewalające największych malkontentów. W parkach śpiewały kosy. Budkę z piwem nad Wisłą oblepiał tłumek podchmielonych kierowców. Choć tu wydawało się, że czas się zatrzymał. Mężczyźni siedzieli na krawężnikach jezdni albo na poźółkłej od słońca trawie.

Nadchodził środek lata – pachnącego mleczem, porannym deszczem, zwiastującego odrobinę spokoju, a dla niektórych może także nadziei.

Poczuł, że uwolnił się od niej.

– Przeszło mi – powiedział do siebie i westchnął z ulgą. – Wreszcie wolny!

Siedemnaście lat później siedział wciśnięty w nową kanapę przed telewizorem i bawił się pilotem. Do emisji filmu pozostało jeszcze parę minut. Po nim miał być wywiad z aktorką.

Rzucił okiem na swoje córki, które po raz kolejny wymieniły pudełko z puzzlami i zaczęły układać Piotrusia Pana oraz Króla Lwa. Przełączył pierwszy program na drugi i zapadł w przyjemne odrętwienie.

– Napijesz się herbaty? – zapytała z kuchni żona.

– Tak – odparł. – Zrób mi dziką różę z miodem.

Wypił trzy łyki, wyciągnął się wygodnie na kanapie i zaczął oglądać film.

Było w tym obrazie coś niezdrowego. Od samego początku. Film nosił tytuł: „Seks, kłamstwa i kasety wideo”, ale musiał przyznać, że zaczął go wciągać. Chwilami do tego stopnia, że zapomniał, gdzie jest. Patrzył tylko w ekran, popijał herbatę, poruszając od czasu do czasu

palcami w kapciach, jak człowiek kompletnie oderwany od rzeczywistości, skupiony na jednej czynności, jaką było śledzenie akcji filmu.

W czasie projekcji żona wykąpała dzieci. Gdy znalazły się w łóżkach, podszedł do każdej z osobna i pocałował na dobranoc. A potem wrócił przed telewizor.

Końcówkę obejrzał z żoną. Siedzieli obok siebie jak dwa posągi, złączeni niewidzialną nitką, niedostrzegalną smugą światła, ciszą, pochrapywaniem zakatarzonych dzieci, wreszcie odrobiną ciepła, które emanowało z każdego mebla i ich zmęczonych dłoni. Było w tym coś abstrakcyjnego, a jednocześnie prozaicznego – coś, czego nie warto nazywać słowami. Wiele z przeznaczenia, jeszcze więcej z nieuchronności losu, trochę rezygnacji, a także z lenistwa i wygody.

Naraz poczuł, że w tym domu czuje się bezpiecznie i że jest najzwyczajniej szczęśliwy.

Bezpośrednio po projekcji filmu pojawiła się na ekranie rudowłosa dziennikarka, z przedziałką pośrodku głowy, ubrana w zapinany na guziki sweter i luźną sukienkę sięgającą kostek. W rękach trzymała pokąsaną liczbę kaset. Naprzeciwko niej w głębokim, stylowym fotelu zasiadła aktorka.

Poczuł, jak krew zaczyna pulsować mu w skroniach. Zmrużył oczy, wstrzymał oddech, zamienił się w słuch.

– Przygotowałam na dzisiejsze spotkanie wiele twoich filmów, niemal wszystkie twoje role i prawie wszystkie przed programem obejrzałam – zaczęła dziennikarka z czarującym uśmiechem.

Kamienna dotąd twarz aktorki drgnęła.

– Doszłam też do przekonania – kontynuowała prowadząca program – że nigdy nie byłaś samotna, mając tak wielu kochanków.

Aktorka lekko odsłoniła zęby, a może mu się tylko zdawało.

– Wysłaliśmy do nich telegramy i mam nadzieję, że paru z nich tu wpadnie.

– Miło mi.

– W swoich rolach jesteś wielką wszeteczną, gorszycielką, prowokatką, a przecież w rzeczywistości taka nie jesteś, prawda?

– A skąd wiesz?

– Bo czytam o tobie, że jesteś dobra, ciepła, spokojna. Choć w twoich rolach odnaleźć można tyle prowokacji.

– Wiesz, wydaje mi się, że tylko prowokacja jest godna widza.
– Film to jest wszystko na sprzedaż. Strasznie dużo wy, aktorzy, sprzedajecie.

– Tak, ciąży mi taka opinia. Opinia, że jestem sprzedajna, że grając, sprzedaję siebie, ale nikt nie pamięta o tym, ile my, aktorzy, płacimy za swój zawód. Ile jest za mną nieprzespanych nocy i ile pytań. Gdy obserwuję swoje koleżanki i kolegów aktorów, dostrzegam, jak wiele płacą za to, co robią. Już nie mówię o zdrowiu. Widzę, jak strasznie muszą się trzymać w karbach.

W tym miejscu telekino nadało fragment filmu aktorki z Janem Nowickim i Bogusławem Lindą. Siedział jak zahipnotyzowany. Kamera prześlizgiwała się po jej udach, ukazywała nagie biodra, by zatrzymać się na twarzy. Emanowało z niej dzikie pożądanie. Widział rozchyłone wargi aktorki, przymrużone oczy i jej długie, zakończone polakierowanymi paznokciami palce, którymi obejmowała kark pochylonego nad nią partnera. Grała łóżkową scenę. I to jak grała! Właściwie nie musiała udawać.

Jest w tym klasą samą dla siebie – pomyślał. – Robiła to przez całe życie. W rzeczywistości i na planie dziesiątków filmów.

Nawet nie zauważył, jak szybko minęły dwa kwadranse, a program z aktorką dobiegł końca. Gdy ocknął się, było po wszystkim.

– Więc to była ona? – zapytała żona.

– Tak – odrzekł. I zaraz dodał: – Dziękuję ci za świetną kolację. Chodźmy spać. Jestem zmęczony. Jutro mam ciężki dzień.

Wracła z telewizji do domu. Z Woronicza na Sadybę miała niewiele ponad dziesięć minut szybkiej jazdy swoim BMW, lecz dziś nie spieszyło się jej. Obok siedział krótko ostrzyżony brunet, jej najnowszy „nabytek” – o czternaście lat młodszy, mający ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, o śniadej skórze, delikatnym spojrzeniu, w którym ukrywał swe dwadzieścia kilka lat, całkowity brak doświadczenia, ciekawość świata, a przede wszystkim kobiet, bo jeszcze nie zdążył ich dobrze poznać. Nie mógł przecież wiedzieć, że takie jak ona najzwyczajniej w świecie bawią się tylko żółtodziobami, że są dla nich jedynie zabaw-

kami i służą do zaspokajania seksualnych potrzeb, lechtania nienasyconej próżności oraz potwierdzania się. Identycznie dzieje się z mężczyznami, dla których każda nowa kobieta stanowi jednocześnie zdobywcę i ofiarę.

Pieścił jej kolano, a ona pozwalała mu na to, gdyż była w wyśmienitym humorze. Trzymała kierownicę swego zgniłozielonego BMW nonszalancko, lewą ręką, całkowicie pewna, że tej rangi wóz prowadzi się bez wysiłku, właściwie sam. Druga ręka to błądziła gdzieś w powietrzu, to opadała w dół, aby uchwycić dźwignię biegów. Wówczas machinalnie gładziła skórzany kapturek, przenosiła dłoń wyżej, by po raz kolejny objąć drążek z firmowym logo w kształcie kuli. Wreszcie, znudzona monotonią, włączyła magnetofon i umieściwszy w nim kasety z *Recondita armonia* Luciana Pavarottiego, zaczęła nucić ową pieśń tak, jak na to pozwalał jej marny słuch. Niezależnie od wszystkiego nagranie było niezwykle piękne i mogło wprowadzić w ekstazę każdego – nawet największego laika.

Wkrótce wyrzuciła po drodze młodego człowieka, którego ucałowała na dobranoc w usta, zostawiając go pogrążonego w rozterce, z czego nie zdawała sobie sprawy, gdyż była całkowicie zaprzątnięta sobą.

W chwilę potem dodała gazu i znalazła się przed swoją willą ocienioną ogrodem. Dochodziła północ.

Wprowadziła wóz do garażu, zamknęła starannie wszystkie drzwi i włączyła elektryczny alarm.

Powiesiła na wieszaku futro, zsunęła z nóg szpilki i stanęła przed lustrem. Przez kilkanaście sekund lustrowała swą twarz, która wydała jej się wyjątkowo zmęczona, potem podeszła do telefonu i włączyła automatyczną sekretarkę. Taśma ruszyła natychmiast, lecz nie było na niej żadnej wiadomości.

– No nic – powiedziała do siebie. – Jeszcze za mną zatęsknią.

Zdjęła sukienkę, a następnie nałała lampkę szampana i wypiła go duszkiem.

– Wezmę teraz kąpiel. To dobrze mi zrobi – rzekła.

W chwilę potem nałała do wanny płynu do kąpieli, dodała szczyptę soli, całość zaś doprawiła szwedzkim płynem z ziół i protein. Weszła

do wanny, którą z wolna zaczęła wypełniać wodą. Po dziesięciu minutach całkowitego bezruchu poczuła się znacznie lepiej. Podniosła się i zaczęła starannie wycierać piersi.

W tym samym czasie w różnych miejscach bezustannie dzwoniły telefony, w słuchawkach czekały pełne zjadliwości głosy z Warszawy, Rzymu, Paryża, Łodzi, a filmowcy dzielili się swoimi wrażeniami z ostatniego festiwalu w Wenecji, przeglądu w Łagowie, niezliczonej ilości kolaudacji.

– Zaangażujesz ją?

– Jeśli zatwierdzą scenariusz i produkcję. Za wcześniej o tym mówić.

– Musisz ją zaangażować. Obiecałem ci, że ją dostaniesz.

– Nie wiem, czy mam jeszcze na nią ochotę.

– Tydzień temu szalałeś za nią.

– To było tydzień temu, już mi przeszło, zresztą...

– Zresztą co?

– Mam kogoś innego na oku.

Albo:

– Widziałeś tę pulchną blondynę, która dostała rolę u Roberta Altmana?

– Z tym tłustym cycem?

– Przecież lubisz takie.

– Ona jest poza naszym zasięgiem, bierze tylko w dolcach. Jest straszliwie zarozumiała, a tak naprawdę to beztalencie.

– Stary, to beztalencie gra u samego Altmana.

– To zwykły fuks. Za kilka lat nikt o niej nie wspomni. Tak jak dzisiaj nikt nie pamięta tej, za którą szalałeś kilkanaście lat temu, no, jak jej było na imię...?

– Tej wówczas cholernie seksownej blondynie, która zaczynała u Hanuszkiewicza?

– Właśnie!

– Widziałem ją godzinę temu w telewizorze.

– Czyżby reklamowała jakiś nowy proszek do prania?

- Nie, miała wywiad w dwójce.
- Trafiło się ślepej kurze ziarno. Przecież nikt już jej nie angażuje.

To przeszłość.

Albo:

- Za to przyszłość to wideo. Słyszałeś, ile sprzedano kaset „Psy 2”?
- Tak, ale nie każdy ma forszę na taką produkcję, nie mówiąc o zakupie licencji.

- Właśnie, to już nie to, co dawniej.

Starsi o kilkanaście lat, wyłysiali, o pomarszczonych policzkach i obwisłych tyłkach, łykali trzy razy dziennie multiwitaminy z minerałami, a niekiedy nitroglicerynę. Po nocnych szaleństwach w towarzystwie modelek i stawiających pierwsze kroki w show-biznesie gwiazdek, rozprawiali o nowych kontraktach, dyskutowali o projektach, sprzeczcali się o pieniądze. Gdyby nie dzieliły ich setki kilometrów, braliby się za łby. Mówili tylko o swoich sukcesach, skrzętnie ukrywając niepowodzenia. Wszyscy ci wielcy kłamcy wygłaszali w słuchawki identyczne monologi jak przed laty, bezwiednie zdradzając swą zawodową chorobę, jaką jest zawiść powodowana samotnością i rozpaczą.

1995